

**Wychodzi w każdą
Sobotę.**
Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 złr. — półrocznie
4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech:
rocznie 5 tal. — półrocznie
2 tal. 15 sgr. — kwartalnie
1 tal. 8 sgr.
we Francji:
rocznie 21 fr. — półrocznie
11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcja: Ulica
wałowa Nr. 19.

ŚWIAT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Treść: O satyrykach polskich XVII wieku, studium literackie przez Dr. Adama Belcikowskiego. (Dok.) — Anakreontyk, (wiersz), przez Adama Pajgertu. — Na wieść o śmierci Mazziniego (wiersz), przez Ernesta Bulawa. — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez Berlicza Sasa. (C. d.) — Głębia morza i głębia powietrza, przez dr. Tomasza Staneckiego. (Dok.) — Męczennicy fantazyi, nowella z niemieckiego Ludwika Foglara. (C. d.) — Przegląd rzeczy słowiańskich, przez Władysława Ordona. — Przegląd teatralny, przez Bronisława Zawadzkiego. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

O satyrykach polskich XVII wieku,

studium literackie

przez

Dr. Adama Belcikowskiego.

(Dokonczenie.)

W czasach, kiedy koryfeusze Satyry pisali dzieła, które wyglądają nieraz na oszczerstwo narodu, nie dziw, że ludzie mniejszych zdolności lub zakreślający sobie szczerzejsze daleko granice w swych poglądach, popadali łatwo w płytkość, płaskość i trywialność. Czyli mówiąc innymi wyrazami, satyryczne ówczesne pisma mniejszej wartości i wagi, wywoływane najczęściej przez chwilową potrzebę, a nawet przez jedno jakieś przypadkowe wydarzenie, schodzą bardzo często do poziomu paszkwilu, a często w tym wyłącznie celu były pisane, aby posłużyć za paszkwil, za środek do wyszydzenia pewnego stronnictwa, pewnej klasy ludzi lub pewnej osobistości. Jeżeli przypomniemy sobie, jaki był wówczas wewnętrzny stan kraju, a mianowicie ustawiczna a nie zawsze szlachetną walkę między tronem a szlachtą, jakoteż stosunek, w jakim stały do siebie na równych dawniej prawach ścierające się ze sobą stronnictwa religijne: protestantyzm i katolicyzm, łatwo będzie zrozumieć, że satyra niższego rodzaju, że pamflet i paszkwil były całkiem w duchu owej epoki i jej ludzi. Czasy, które widziały krwawe rokosze, knowania z zagranicą i zdradę kraju, które były świadkiem ulicznych bójek między zwolennikami różnych wyznań i gwałtownych napaści na domy i świątynie, musiały i na polu piśmiennictwa wywoływać podobne bezprawia i walki na oręż podobnego rodzaju. Do nienawiści, jaką pałały naprzeciw sobie stronnictwa polityczne lub religijne, dołączyła się jeszcze powszechna w owej epoce ciemnota, albo raczej obskurantyzm, a z takiego związku mógł się zrodzić tylko plód noszący na sobie cechy poziomuści umysłowej i zepsucia moralnego.

Wspomnę tutaj o celniejszych przynajmniej objawach podobnej literatury.

Sejm piekielny albo popis wszystkich złych duchów piekielnych przed książęciem Lucyperem panem i dziedzicem całego pie-

Główne ajencye: we Lwowie, księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Zupańskiego. Rekopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania. Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleźć w „Świecie” wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł, prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy, takowych

kła (1628, 1752, 1807.). Satyra na zepsucie obyczajów w duchu ludowym napisana. Każdy z dyabłów zdaje przed Lucyperem sprawę ze swych czynności, oświadczając, że wiele dusz piekłu przysporzył. Spraw publicznych ta satyra nie dotyka, ale zawiera ciekawe wiadomości o czarach, gusłach i czarownikach i w myśl ówczesnej wiary ludu. Najniższe też warstwy społeczeństwa są głównie jej przedmiotem. Oprócz znanych nazwisk: Lucypiera, Belzebuba, Asmodeusza itd. przychodzą tu narodowe imiona czartów: Smółka, Rogalec, Czarownik, Latawiec, Lelek nocny (bies złośliwy), Przechera, Frant, Klekót, Paskuda, Zaletnik.

Nowe zwierciadło modne dzisiejszego stroju akomodowane damom polskim, które się modno noszą od Jakóba Łącznowolskiego ofiarowane. (1678, 1682.). Satyra wymierzona przeciw zbyt kobiet w strojach, gdzie w pierwszej części p. t. „Heraklit...” nad nieszczęsnymi skutkami mody autor ubolewa, a w drugiej p. t. „Demokryt...” próżność mody wyszydza. Modzie przypisuje ta satyra nie tylko stratę pieniędzy, ale i nieszczęścia publiczne, jakich Polska za jej grzechy od lat pięćdziesięciu doznaje, a także i moralne zepsucie kobiet. W końcu przytoczona tu jest osobliwsza powiastka o pewnej elegantce w Holandyi, której duszę po śmierci węże i żaby opadły za utajony przy spowiedzi grzech zbytku w strojach. Autor umiał się nieraz trafnie i dowcipnie wyrazić, jak np. w wierszu:

Niech co pokaże moda, czego by nie trzeba,
Nie odradzi modniastym i sam anioł z nieba.

Dyalogowanej satyry: „O stacie żołnierzy z Teologiem” pierwsze wydanie sięga jeszcze 1624 r.; wymierzona ona jest przeciwko bezprawiom żołnierzy obciążających niesłusznie dobra duchowne. Według Maciejowskiego dyalog ten podobny jest, szczególnie w początku i zakończeniu do „Rozmowy Dworzanina z Mnichem”



Kromera. Do niego dołączona jest inna satyra p. t.: Prywat, która wyszła także 1649 r. osobno z małymi dodatkami p. t.: Prywat Polską kieruje. Po nim stateczny sługa Rpltej następuje. Autor zamierzył sobie tutaj wykazać, jak bardzo i jak często interes osobisty przemagał wówczas nad dobrem ogólnem. Ale zarazem czuł, jak i wielu innych pisarzy, że mówiąc przeciwko prywatności, popadnie w podejrzenie jakoby na wolność nastawał. Widać jak oba te pojęcia, choć całkiem niesprawiedliwie, pomieszano ze sobą. Broni się więc w przemowie do czytelnika przeciw temu zarzutowi i przywodzi znaczący przykład Solona, który chcąc Ateńczyków do odzyskania Salaminy nakłonić, udawał szalonego. „Tobie także uczynić przyjdzie, jeźlić się ta rozmowa o wolności i prywatności widzi przykra, przyjmij ją jak od szalonego...” Jak autor wystawia ówczesny stosunek obywateli do kraju, można mieć wyobrażenie zaraz z samego początku:

Jam też ktoś i jam coś: cóż się dziwujecie?
Zgadnijcie mi ktom ja jest — płaci (pewnie) nie zgadniecie.
A chcecież że Wam powiem? Zowią mnie Prywatem,
Mięso zjadłszy, Ojczyznę rad częstuję gnatem...

Satyr nowy z chorej głowy (9 stron) wysmiewa nierząd i popłoch pod Piławcami, gdzie było trzech hetmanów. Podobną satyrą na gnuśność rycerstwa i zdrożność obyczajów jest: Lech wzbudzony i lament jego żałośny, widząc tak utrapione państwo r. 1649. Wiszniewski nazywa ten utwór „piękną satyrą.”

Były także satyry na życie dworskie, w których szczególnie się odznaczył na początku XVII wieku Jan Dzwonowski (około 1621).

Obiecadio dworskie albo żywot służyłych (b. m. i. r.) Według Bentkowskiego „i myśli i wyśłowienia nie mają nic osobliwego.”

Forma albo wizerunek postępku stano w wszelakich wieku terażniejszego, która pokazuje przestrogi, według których się bez szkody w stanie swoim każdy sprawować ma. (1684 r.) Przyłączony tu jest „dworski lexyk,” z którego kilka przykładów może dać wyobrażenie ówczesnych opinii i przewrotności w pewnych sferach:

Blasphemus, dworzanin — Consolatio, dzban piwa — Dissolutus, szlachecki animusz — Expoliator, żołnierz — Factiosus, polityk — Inimicus, sąsiad — Prodigus, dobry człowiek — Virtutum cultor, prostak.

Najjaskrawszym wyrazem paszkwilu są okolicznościowe wiersze pisane na różnowierców. Pojawiały się one i w poprzedzającej epoce jak np. „Anatomia Martinusa Lutra” z 1546 r. i „Poselstwo z dzikich pól od Sowizdrzała do małowocnotliwej drużyny” r. 1606 — nawet Krzycki pisał ostre wiersze na Lutra, ale pisma podobne z XVII wieku przewyższają je w płytkości i małoduszności.

Bentkowski wylicza cztery takie paszkwile. O dwóch z nich, jako mniej znanych, mogę dać bliższe wyobrażenie. List o kozakach polskich do D. Martyn Luter od śląskich i czeskich Ewangielików

przez X. Nikiel Habsper Minister Ferbi Dei Zboru wrocławskiego z Niemieckiego na Polskiego przełożony R. P. 1636. Jest to niby list od Ewangielików do Lutra ze skargą na psotę, jaką Lisowczycy pewnemu Ministrowi wyrządzili w Wrocławiu, nasypawszy mu do pluder prochu i podpaliwszy go; pisany zepsutą polszczyzną.

Witanie na pierwszy wjazd z Królewca do Kadłubka Saskiego Wileńskiego Ixa Hern Lutermachra. Drukowano w Wittembergu r. 1642 dnia wczorajszego. Ten nowo przybyły do Wilna Minister popisywał się na kazaniu z greczyzną:

Przed Baby Babilończyk po grecku wywija
Kieliszki przed Saskami Ateńskie wypija —

co dało powód do napisania tego paszkwilu, dotyczącego i wszystkich Lutrów w ogóle. Pomiedzy innemi pisze np. w tej satyrze Kozak Sienko Nalewajko do tego Ministra (po rusku), dając mu przyjacielskie nauki o greczyźnie. Rabin rozmawia o nim ze Szkolnikiem i chce żeby nawrócił Ministra na wiarę żydowską, bo inaczej wszystkich Żydów po grecku nauczy i Talmudy przepadną itp.

Przeciw Aryanom znów wymierzona jest satyra p. t. Rakowska wiara 1652, gdzie autor miota potwarze na pewnego (P. T. S.) ministra łuckawskiego, oskarżając go, że łotrował i rozbijał w okolicach Zakliczyna.

W podobny sposób nie oszczędzali i innowiercy katolików. Tak Jan Rzenczycki, zapalczywy kalwin, w satyrze: Żywot błogosławionego i poczeiwego człowieka... 1644 powstaje na duchowieństwo, szczególnie na Jezuitów, których nawet nie chce uznać za swych bliźnich, wyszydza zakonników i obrzędy kościelne.

Nakoniec i walka między tronem a szlachtą, niezadowolone jakie obudzał często dwór królewski albo też polityka dworska, wzajemna niechęć stronnictw, tak często się wówczas ścierających ze sobą, pozostawiły także i w piśmiennictwie ślady po sobie. Nie wstydzono się używać za broni paszkwilu i pamfletu, a nienawiść w obelżywych nieraz wyrazach, w gwałtownych wybuchach, szukała dla siebie niejakej ulgi. Tak jeszcze wcześniej nieco, z natchnienia dworu Zygmunta III, albo też króla samego napisano: „Paskwiliusz dworny” (znajduje się w Atheneum Kraszewskiego z roku 1845), wymierzony przeciwko szlachcie. Płody te jednak obiegały po najwęższych części w pisanych kopiach po kraju i dzisiaj napotykały je dosyć często po dawnych rękopisach i Silvach rerum. Ich styl i język jest tego rodzaju, iż nie mogły w druku na widok publiczny się pokazywać — wyrażają się bez żadnej godności i w najgrubszych słowach o osobach, nawet najwyżej położonych i nieraz takich, które bynajmniej na podobne obelgi nie zasługiwały. Potomność umie dzisiaj rozsądzić, komu podobne utwory hańbę przynoszą — czyli ich przedmiotom, czy ich autorom.

ANAKREONTYK

(Do M...)

Wszystko zmienne! któż zaprzeczy?
I ja także w dni mych ranku
Oj! lubiłem inne rzeczy,
Mój Maryanku!

Mile słówka myśl pamięta:
„Moja luba!” „Mój kochanku!”
Oj! lubiliśmy dziewczęta,
Mój Maryanku!

Dziś małżeńskie wiąza śluby,
Piszczą dzieciak na kolanku,
I ja stary — i tyś gruby
Mój Maryanku!

I nie pięknie, każdy przyzna,
Kluc bodakiem w kwiato wianku,
Nie dla dziewic już siwizna,
Mój Maryanku!

Życia jesień — istna słota,
Komuż dożyć jej bez szwanku?
Miłość złota, młodość złota,
Mój Maryanku!

Póki człowiek pstro miał w głowie,
Sercem płonął jak w kaganku,
Co za humor! co za zdrowie!
Mój Maryanku!

I o zbiory człek nie pytał
I nie płacił rat do banku
I sejmowych mów nie czytał,
Mój Maryanku!

Dzisiaj starość, dyabła warta!
Wśród kłopotów bez ustanku
Chyba szklanka, chyba karta,
Mój Maryanku!

Lubież z tobą, gdy zabrzękna
Kielichami przy śniadanku,
Wspomnieć życia wiosnę piękną,
Mój Maryanku!

O ubiegłej, o wietrznicy
Czerpmyż pamięć w wina dzbanku!
Dajno klucze od piwnicy,
Mój Maryanku!

Adam Pajgert.

Na wieść o śmierci Mazziniego.

Nie środków twoich, lecz celów potędze
Cześć! — boś im wiary do końca dochował —
Co ty począł, naród dobudował
Wierny jednego człowieka przysiędł!
Dziś, stoi arka Italskiej „jedności”,
Z kajdan żelazo na nią tyś ukował!

W pętach ubóstwa dumnieś ty królował
Wśród prześladowań... sztyderstw... samotności!..
I w wiecznej księdze twe imię ryc będzie
Duch dziejów, gdy u stóp wieczności siedzie,
O Jezuito — Wolności!!!
Ernest Buława.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Silvo dalej opowiada.

Kiedym się przebudził, była noc głęboka — i gwary miasta ustały. Nademną szeptały z sobą liście pomarańczy. Przedemną płynął w kamiennem łóżysku Guadalquivir pod srebrną szatą odbłyśków księżycy. Dokoła schylało się niebo ku ziemi, wspierając swą lazurną kopułę na krańcach pierścienia widnokregu. Letargowi grodu Almanzora przyświecały gwiazdy, nuciły przestrzenie. To się gdzieś zaszumią lasy, gdyby topiel wezbrana. To się gdzieś ozwie w górach samotna kantilena arrierosa. To znów gitara zabrzeczy w ogrodach Alkazaru, lub zatętnią dzwoneczki mułów kontrabandy, kryjącego się w mrokach nocy pośród przepaścistych bezdroży Sierry. Wszystkie te przejawy życia człowieka i natury jeszcze się mi wybitniejszymi zdawały na tle milczenia grodu, w którym biedny wygnaniec nie miałem ani gdzie głowy położyć, ani czem ukoić głodu. Lecz młodość obfita w pociechy. Dotknięta rzeczywistością omgli się na chwilę, zamroczy i znów ją ułuda owionie, otucha pokrzepi, wesele opromieni. Znów ona wierzy, kocha, nadzieją dal życia oświeca, poezją chłód świata ogrzewa. I jam był młody wtedy — bardzo młody — cóż dziwnego, że snem pokrzepiony weselej na życie spojrzałem i wrodzoną poetycznością duszy nad ziemskie wyleciałem troski? Ta noc precudna wiejąca harmonią i balsamem — ten przestwór zewsząd otwarty dla porywów niepodległej woli mojej — sama ta nawet awanturniczność przebytych kolei i tych, jakie mnie jeszcze w przyszłości oczekiwały, wszystko to było bodźcem i zachętą dla mar i nadziei młodości mojej, obcej dotąd światu, a więc nie znającej

świata. Kilka granatów zerwanych z drzewa ukoili nieco głód mój. Rzeczna woda zaspokoila pragnienie. Dumy i zachwyty ognistej wyobraźni skróciły ciąg nocy gozdziny. Prędko więc ta noc przebiegła dla mnie.

Skoro nastał poranek poszedłem szukać mieszkania Don Perez'a. Przechodnie (a tych spotkałem niewielu) nie umieli mi o nim poinformować. Na szczęście usłyszałem zwykły okrzyk wodonośza: „*¿Que quiere agua?... agua mas fria que la nieve?...*” *) i wkrótce wyszedł z boczego zaułka człek młody jeszcze z dwoma konewkami wody w rękach — a gdy się doń zwrócił z pytaniem, zaśmiał się głośnie i rzekł:

— *Caramba!* toś ty widać nie tutejszy, kiedy nie znasz Don Perez'a Vasconvallos? Nie ma na świecie takiego drugiego, jak on. Wszysey my znamy go w Kordubie. Patrz na ten dom z dachem czerwonym. To jego dom. *Dios guarde a usted!* *)

Kiedym wchodził do wrót domu Don Perez'a, głos kobiecy wcale nie melodyjny, kaleczył niemiłosiernie wiadomą balladę *Los infernos* o podziemnem piekle Loxy u jednego z okien górnego piętra. W dwóch ostatnich oknach na oścież otwartych sterczały główki jakieś dziewczęce, pulchne, rumiane, figlarne i patrzyły na mnie ciekawie. W drzwiach dolnego piętra stał mężczyzna lat około 60ciu, wysoki, nerwisty, bladej i wyrazistej twarzy, orlim nosem opatrzonej i palił cigarillo. Strój jego nie wyrażał żadnej narodowości wyłącznie, a wszystkie przypominał. Andaluzyjskie *Sombrero* dawało

*) Kto żąda wody? Wody bielszej od śniegu?

*) Bóg z tobą.

mu pozór Hiszpana, maurytańskie albornoś srebrnymi guziczkami zapięte napominało dawnych Abencerrazów Grenady, z obcisłych spodni sianej barwy sądziłbyś, że widzisz przed sobą syna północnej Europy, a lekkie czynniki, bez podeszwy, co nogę jego ciasno otulały, nawodziły mniemanie, że był rodowitym highlanders'em skalistych glen'ów Szkocyi. W tej ekscentryczności westimentalnej przejawiała się na zewnątrz oryginalność jego moralnej natury.

Don Perez (albowiem on to był) zmierzył mię od stóp do głowy, pokręcił węża, skrzył sombrero na bakier i rzekł tonem pytającym:

— *Hijos de esta ciudad?* *)

— *No seenor!* *)—odpowiedziałem—idę z Grenady i jestem synem don'a Alonza Silvy.

— *Santa Maria!*—zawołał zdziwiony—Alonza? pocziwego Alonza i donny Elviry Aguilar, co taka podobna z charakteru do owej energicznej Aixy la Horra, matki Boabdila el Chico, *) że ją nazywałem zawsze królową Grenady i Sultanką Alhambry?

— Tak seenor—rzekłem—donna Elvira matką moją.

— No, to chodź do mnie!—wykrzyknął otwierając ramiona—niech cię uściskam! Wszakżeś mój bliski krewny!...

I pochwylił w żylaste objęcia i całował gorączkowo i radość swoją gardłowym jakimś urwanym jękiem wyrażał. Poczem porwał za rękę, wprowadził do pokoju, usadowił na kanapie, a sam biegając od kąta do kąta, z młodzieńczą żywością znoślił z różnych szafek i kramów bótki, ciasta, ser, masło, owoce, stawiał przedemną na stoliku i wzywał, żebym się posilił, a wzywając chichotał, podrygiwał i zacierał ręce z zadowoleniem. Ledwie się uspokoił znowu skoczył ku drzwiom i zaczął wołać na całe gardło:

— Donna Sol!... Juannita!... Carmen!... Dolores!... Pepita!... a chodźcie no prędzej!... miłego mam gościa!... Jednym susem do mnie!... Na powietrzu do mnie!... *Per Dios!*

Potem zwracając się ku mnie rzekł:

— Poznasz moją siostrę. Oryginalna baba! Po całych dniach szepce litanie, mruczy pod nosem pacierze, a gdy się jej sprzykrzy, beczy swoim kozim głosem swoje przekłete *los infernos*. Ale jakich narodziła córeczek? *Caramba!* jedna od drugiej piękniejsza! Obaczysz!

W tej chwili zabębniły drewniane schody pod skwapliwym stapaniem i cztery właścicielki owych pętnych twarzątek, co się mi z okna przypatrywały, wbiegły do pokoju. Były to rzeczywście hoże, świeże i nader miłe dziewczeczki. Szykowne, zręczne, polotne, jakby je natura umyślnie dla tarantelli, fandanga, lub zambry na świat wydała. Wkrótce wsunęła się poważnie sama donna Sol, pergaminowie żółta, sucha i wysoka matrona, na obliczu której z pod oficjalnej maski dewotyzmu wyglądały zwiędłe cechy dawnej zalotności niezręcznie tartuferyą przykryte.

— *Santa Madre de Dios!*—wykrzyknął Don Perez z komicznym wyrazem przerażenia—Co z tobą miła i piękna siostruniu! Czegoś taka blada i surowa? Wyznaj, święty jakiś musiał ci nakreć uszy za to, żeś mu litaniami swemi dokuczyła. Mówiłem ci nieraz: Daj im czysty pokój! nie bądź natrętna! Nie słuchałaś! Ale, ale, ten oto młodzieniec, co pieczę raki przedał tobie, to Pedro Silvo czyli właściwie Pedrillo, bo mu się

jeszcze wąż nie zasiewa. On bliski nasz krewny i nie wątpię że dobry chłopiec. Polecam więc jego samego twoim łaskom, a duszę jego twoim litaniami, psalmom, godzinkom, antyfonom, których masz zawsze pełną gębę, czemu zapewne przypisać należy, że takie puszczasz gęsiory, kiedy swoje ulubione *Los infernos* zadowolisz.

Uśmiechnęła się żółciowo Donna Sol na ten wybuch pocziwego dziwaka, a gdy się do niej zbliżył z uszanowaniem podała mi sztywnie rękę do pocałowania i nie wyrzekłszy słowa kiwnęła głową i oddaliła się z pokoju.

— *Caramba!* Otóż nawarzyłem sobie piwa!—przemówił Don Perez, śmiejąc się do rozpuku—będę miał teraz pełny dom grymasów i kaprysów za tych kilka słów prawdy, które mi się jakoś z gęby wyrwały. O! ta prawda! Nigdy mi na sucho nie uszła! Sam dyabeł widać w niej siedzi!

Juannita, Carmen, Dolores i Pepita nie wtórzły, ma się rozumieć, porywom jego sarkastycznego wesela, albowiem byłoby to uchybieniem względem matki, którą nawykły poważać i nie kochać nie mogły. A do tego przytomność moja była pewnym rodzajem hamulca, powstrzymującym wrodzoną ich skromność od niewczesnych przejawów na zewnątrz tego, co się na dnie ich uczuć tało. Były to czyste i jasne dusze, ciepłe i poetyczne, chęciom nagannym niedostępne, złej myśli niepojmujące, dusze jak białe lilie wonnemi korony swemi ku niebu otwarte, w słońcu i w eterze wypiełgnowane! Dwie starsze siostry Carmen i Dolores różniły się tylko od dwóch młodszych lekkim odcieniem melancholii, łagodzącym ognistość ich południowego oka. Juannita i Pepita mniej bliskie dojrzałości a następnie więcej niezależne od wrażeń poruszających życie moralne kobiety, były całe weselem, swobodą, dzieciinną prostotą. Kiedy tamte pytały już serca czego by pragnęło? i badały losu jaką im przyszłość gotował, młodsze nie pytały jeszcze serca, bo dotąd nie przemówiło i nie badały losu, bo przyszłością ich była jeszcze tylko teraźniejszość. Don Perez wydrwiwał surową powagę donny Soli nieraz jej wygórwanemu dewotyzmowi ostro przycinając—a jednak któż z głębiej biorących rzeczy nie przyzna, że ta jej powaga i szeroki asketyzm były właśnie stroną dodatnią macierzyńskiego posłannictwa i głównym jego czynnikiem w przedmiocie poskromienia żywych charakterów, skłonnych odmówić należnego uznania obowiązki uległości i uszanowania? Donna Sol zrzędziła ciągle na brata, oburzała się nań za jego humor wesóły, żartobliwy, swawolny, ba nawet zanadto emancypowany czasami, od którego się dlatego tylko nie rumieniła, że dawno już rumieniec o twarzy jej pergaminowej zapomniał—a jednak nie ma wątpliwości, że i ten żywioł wesela samorzutnie z duszy prawej Dona Perez'a tryskający, wpłynął zbawiennie na charakter jego siostrzeniczek, których naiwną szczerość i wesołe usposobienie (rygoryzmem matki zagrożone) jemu przypisać należy. Z dwóch tedy kontrastów duchowych, jednocześnie z właściwego sobie punktu działających, powstała doskonałość moralna Juannity, Carmen, Pepity i Dolores.

Dwie niezgodne z sobą, chociaż równie skuteczne siły oszlifowały te cenne dyamenty do nieskazitelnego poluru i olśniewającego blasku. W obec tych nadobnych i niewinnych istot, czulem się kornym i nieśmiałym. Jezyka, jak to powiadają, zapomniałem w gębie. Przed jedną zwłaszcza, przed jedną, niewypowiedzianego doznawałem wzruszenia. Nie była to jeszcze miłość, ale było coś podobnego do niej. Przepędziwszy kilka tygodni

*) Czyś synem tego miasta?

*) Nie, panie.

*) Ostatni król Grenady.

w gronie tej zacnej i uprzejmej rodziny, miałem, zdaje się, dość czasu oswoić się z wrażeniami memi — a jednak świeżość i żywe poczucie tych wrażeń nie zmniejszały się we mnie — owszem wyższe jeszcze sięgały szczybla, gdy głos nadobnej Carmen usłyszał, lub ją samą ujrzał przed sobą. Niepojętego coś spełniało się wtedy we mnie. Była w tem błogość i niespokojność razem. Było niewypowiedziane wesele całe jestestwo moje ogarniające, a jednak smutkiem omglone. W miarę tego jak się dnie pobytu mego u Dona Perez'a pomnażały, gasła poprzednicza wesołość moja — i Carmen nie tą już była, co pierw. Nieraz bywało unika mnie — lub obojętnie powita. Nieraz błądzi samotna po cieniowych alejach ogrodu, wyłączając się z grona siostr swoich, rzeźwiących się wesoło na łące za babką lazurną lub złocistym motylkiem. Donna Sol wiecznie w litaniiach pogrążona nie mogła zauważyć tej nagłej odmiany w usposobieniu swojej córki a tem samem zapobiedz onej — Dona Perez'a nie było w domu. Cóż dziwnego, że niczem niepowstrzymany prad uczuć naszych coraz żywszego nabierał pędu, coraz się w potęgę wzmacniał?... Z hożej, barwą róży świecącej Carmen, coż pozostało? Szkarłaty lica uwiedły — uśmiechy duszy uleciały! I jam się też bardzo odmielił. Kiedym się wpatrzył sam w siebie, poznałem, że nie był ten sam, co pierw. Nowe pragnienia zajęły miejsce dawnych — a wszystko, co we mnie żyło, pałało, świeciło, mar i żądź młodzieńczych ideałem było i rozstrzelało się z duszy w doczesność na różne przedmioty i cele — wszystko to zbiegło się napowrót do duszy i rozplómięło się w niej straszliwym pożarem występnej, bezrozumnej miłości! Odkrycie to przerażyło mnie. Z własnego stanu pojąłem ja wtedy i stan biednej Carmen. Cierpienie, jakimom w sobie doświadczał, nauczyło mnie ocenić i jej cierpienie. Zadrgała fibra szlachetna serca. Głos sumienia przemówił surowo. Bóg oświecił mnie i pokrzepił. Postanowiłem przezwyciężyć siebie, skruszyć łańcuch czarodziejski, co jestestwo moje kępował, oddalić się niewzłocznie, oddać się pokryjomu. Dokąd? sam nie wiedziałem. Wreszcie była to dla mnie rzecz podrzędna. Nie szło mi wcale o to, co się ze mną stanie — lecz o to, żebym się czarną niewdzięcznością za doznana opiekę i przychyłność nie zhańbił, żebym w sercu niewinnej Carmen nie podsycił przytomnością moją uczucia bez celu, które spokojności jej groziło i życiu.

Noc była. W komnacie Donny Sol mrugało jeszcze światelko. W mieszkaniu jej córek było ciemno. Spały —

ale czy wszystkie? Pokoik, w którym mnie Don Perez pomieścił, był niegdyś sypialnią jego ojca i pozostał takim, jakim go nieboszczyk umierając zostawił. Na jednej ze ścian onego wisiał starożytny wizerunek Matki Boskiej bolejącej, znakomitego jakiegoś pędzla. Boskie oblicze tchnęło słodyczą i miłosierdziem. Łzy cierpienia nie było w źrenicy, bo łza, to godło ludzkiej słabości. Lecz każdy rys świętego oblicza przemawiał taką niezmierną boleścią, tak rzewnie prruszał serce i całe jestestwo człowieka na ton uroczysty nastrojał, że cierpiący, samotny, nieszczęśliwy, padłem na kolana, uderzyłem czołem hołdownie i gorącą modlitwę moją łez rześzystych oblałem strumieniem. Młde światelko lampy wiecznie nad obrazem gorejące, nadawało pozór ludzacy życia boskiej twarzy, boleśnie ku piersi skłonięnej. Zdało się, że baczy błaganu mojemu, opiekunem wejrzaniem do mego wnętrza przenika, że w niem promienie swej łaski i miłosierdzia swego rozlaczca. Jeżeli to nie było prawdą, a tylko błędem rozognionej wyobraźni, o! był to błąd poruszający, zbawienny, święty! On pokrzepił siły moje, utwierdził ducha w szlachetnym zamiarze, uzacnił i podniósł jestestwo moje z upadku! Powstałem przerodzony, mężny, spokojny i pobłogosławiony domowi, co przytułił biednego wygnańca, opieką i miłością otoczył, wyszedłem na ulicę, a z obawy żeby nie osłabnąć w przedsięwzięciu, pobiegłem nie oglądając się nazad całą mocą pędu, pobiegłem sam nie wiedząc dokąd? i po co? Ach! bo zamęt serca nie dozwalał mi obrać sobie toru, wyrozumować właściwego celu. Cierpienie wprowiło mnie w stan zupełnego zobojętnienia dla świata i życia. Biegłem kędy trafiał prowadził, kędy niosły nogi. Daremnie meczet Almanzora zabiegł mi drogę na tysiącu kolumnach swoich. Minałem go bez baczenia! Daremnie mury Korduańskiego Alkazaru zagwarczyły swoją legendę wieków. Nie słuchałem i biegłem dalej — a za mną goniły śladem poważne sumy palm Abderama, westchnienia ruin szkoły Awicenny i Awerroesa; dalekie odgłosy Sierry, szmery fal Guadalkiwiru. Gdyby olbrzymia lutnia brzmiała zewsząd przestrzeń tysiącem strón swoich przelewając się na różne łady w akordach swej uroczystej symfonii. Gwałtowne tętna uderzały mi w łonie. Skroń pałała boleśnie a źrenica ślepa na wszystko nie widziała przed sobą krom rzewnej postaci Carmen w niezliczonych formach fantazyi przytomnej, z badością smutku, ze łzą cierpienia, z jękiem sercowej rozpacz.

(C. d. n.)

Głębia morza i głębia powietrza

przez

Dr. TOMASZ STANECKIEGO.

(Dokończenie.)

Przenieśmy się myślą daleko po za granice atmosfery i oglądajmy ją okiem ducha, a obaczmy w niej tu i owdzie rozrzucone i przesuwające się plamy munej lub więcej ciemne, przy biegunach zaś płaty białe, naprzemian przez pół roku błyszczące; owe zaciemki zmieniające swe miejsce i kontury, są to obłoki warstwami rozwleczone albo kłębiasto spietrzone, a te białe pola to powłoka lodowa krain przybiegunowych. Podobne zjawiska spostrzegamy za pomocą teleskopów na tarczy Marsa, z czego wnosimy, że ten planeta jest otoczony atmosferą i że przy biegunach pokrywają go masy śniegu i lodu.

Pozostając na stanowisku wyżej wspomnianem obaczmy na powierzchni naszej atmosfery takie ruchy peryodyczne, jakim podlegają wody oceanu, t. j. kolejno po sobie następujące wzbieranie i opadanie, czyli przypływ i odpływ nurtów powietrznych. Ze się te poruszenia w dolnych warstwach nie ujawniają, łatwo wyrozumieć, zważywszy, jak głęboki jest ocean powietrzny; to też obserwacje barometryczne skierowane do wysledzenia przewidywanych skutków działania sił przyciągających słońca i księżyca na tak ruchliwy płyn, jakim jest powietrze, nie doprowadziły jeszcze do rozstrzygających wypadków. Mead

utrzymywał wprawdzie, że księżyc sprawić musi nierównie większy przyływ w powietrzu aniżeli w wodach, nie miał jednak na to twierdzenie dowodów. W najnowszym czasie zajmował się tym przedmiotem badań Dr. Neymayer w Melbourne i dopatrywał w pięcioletnich spostrzeżeniach niezaprzeczony objaw wpływu księżyca na stan barometru.

Szukajmyż teraz dolnych krańców atmosfery. Powietrze przyległe ziemi wciska się w jej rozpadliny i podziemne jamy. Im więcej się zagłębi, tem większego doznaje ciśnienia od słupa powietrza, który na sobie dźwiga, tem bardziej więc musi być zgęszczone. Na zasadzie prawa Mariotta można oznaczyć gęstość powietrza w różnych głębokościach. Otóż rachunek oparty zarazem na tem przypuszczeniu, że ciepota wszędzie jest jednakowa, poucza, iż w głębokości jednej mili powietrze musiałoby być blisko 30 razy gęstsze od powietrza znajdującego się przy poziomie morza, w głębokości dziesięciu mil, t. j. blisko $\frac{1}{86}$ promienia kuli ziemskiej, równałaby się gęstości rtęci. Już z tego wnosić wypada, że tak zgęszczonego powietrza nie ma we wnętrzu ziemi, musiałaby bowiem średnia gęstość tejże być o wiele większa od wyniku wszystkich dotychczasowych badań i obliczeń. Nadto liczne spostrzeżenia przekonywują, że począwszy od pewnej warstwy, której ciepota jest stałą, temperatura skorupy ziemi wzrasta ku środkowi i o ile polegać można na wypadkach odnośnych poszukiwań, już w głębokości pięciu mil geograficznych jest tak wysoka, że żelazo i bazalt w stanie ciepłym utrzymuje; oczywiście więc skwar ten opiera się zgęszczeniu gazów we wnętrzu ziemi i kładzie niejako tamę ich wciskaniu się w dalsze głębie.

Ocean wodny i ocean powietrzny nie przestrzegają wspólnej granicy; jeden wdiera się w przestwory drugiego. Powietrze wnika w pory wody, by tam służyć do utrzymania i rozwoju organizmów roślinnych i zwierzęcych. Woda morska pochłania, jak fizyka uczy, pod zwykłym ciśnieniem atmosfery dwie do trzech setnych

części swej objętości gazów powietrznych. Przypuśćmy, że wszystka woda oceanów rozlana jednostajnie po całej powierzchni ziemi tworzyłaby warstwę 1.000 metrów grubą; w takim razie powietrze w niej zawarte ważyłoby tyle, co warstwa wody na 33 millimetrów grubą. Ilość powietrza w wodach wszystkich mórz zamkniętego nie przechodzi $\frac{1}{300}$ zasobu znajdującego się w atmosferze.

Woda wdiera się ustawicznie w przestrzeń atmosfery, gdzie już to rozprasza się w postaci pary niewidzialnej, już tracąc swoje ciepło tworzy nieprzeliczone roje pęcherzyków czyli baniek, które macą przeźroczyste atmosfery i to albo blisko ziemi jako mgła, albo też w mniej więcej znacznej odległości jako chmury. Ale nie zawsze sąsiadują z sobą spokojnie ocean wodny i ocean powietrzny. Zdarzają się częstokroć szalone harce rozstrzężonych na siebie żywiołów. Trąba powietrzna w kształcie olbrzymiego woru czyli wydrażonej kolumny, prostej lub powyginanej, kręcącej się około swej osi, albo też w postaci ostrokręgu, zwieszającego się z obłoku wierzchołkiem na dół i również wirującego. 30 do 1500 stóp długa, dopadłszy powierzchni morza porywa spienioną falę w gwałtowne objęcie, a zakreściwszy ją rozdziera na tysiączne krople i wyłabia w zaburzonych zatopach ślad swego dzikiego pochodzenia, miotając przytem strumieniami wody na wszystkie strony. Niekiedy wyrzuca z siebie gromy, albo się sama przeszywa ognistymi wężykami, przysługując gniewny szum morza strasznym świstem i rozlegającym się łoskotem grzmotu.

Pod wielu względami są do siebie podobne ocean wodny i ocean powietrzny. I w jednym i w drugim zachodzą tu i owdzie gwałtowne wzburzenia, pędzą stateczne prądy, odbywają się sporadyczne przelewy — i w jednym i w drugim mieszczą się miryady istot żyjących — i jeden i drugi od czasu do czasu górną swą powierzchnię oblewa zachwycającem światłem, ocean wodny fosforycznym blaskiem żyłatek mikroskopijnych, ocean powietrzny rozciąga w swych najwyższych warstwach wspaniałe baldachy tajemniczej zorzy północnej i południowej.

MĘCZENNICZY FANTAZJI,

NOVELLA

z niemieckiego

LUDWIKA FOGLARA.

(Ciąg dalszy.)

Tu Fryderyk w najgłębszym wzruszeniu spojrzał na obie siostry i czytał dalej:

— „Prawdziwe cierpienie podnosi. Kto stąpi na nieszczęście swoje nogą, stoi wyżej. I cudownem to jest, że dopiero cierpiąc, czujemy wolność naszej duszy. Wszystko się starzeje, ale też wszystko się odmładza. Czy tylko człowiek byłby wyjątkiem w cudownem prawie natury?... Tak! bo w nas zawarte jest niesłychane dążenie do bycia wszystkim, które woła z nas, jak Tytan grzmiący z głębi Etny.”

„Cokolwiek żyje, wieczne jest, mimo swej niewoli pozostaje niezniszczonem, pozostaje jednostką, choćbyś poszarpał na szmaty i do szpiku podruzgotał — mimo tego pozostanie niezranionem i niezwykniętą istotą z ręki ci uleci!”

„Lękamy się zawistnego losu nie tyle dla nas, ile dla tych, co nam są drodzy.”

„I jeszcze raz, Diotimo... czarowna duszo.....”

Fryderyk raptem zamknął rekopism, chwając się powstał i bez pożegnania rzucił się w noc czarną.

Obie kobiety padły sobie w objęcie.

Fryderyk wcisnął się między tłumy przepelniające dom gry hazardowej; szedł, sam nie wiedząc, kędy, byłby zaszedł w las płonący — był w gorączce, która przybrała rozmiary tryumfujące nad wszelką inną siłą. Przy stole Faraonowym siedziała garść ludzi grą rozbestwionych, zbiór typów zezwierzęconych wszystkich stanów i krajów świata. Tylko głos markiera i dźwięk brzęczącego złota rozlegał się do koła. W sali panowała jakaś duszność ohydna, zabijająca, mnóstwo wchodzących i wychodzących ludzi. Fryderyk docisnął się do banku, rzucił sztukę złota, w okamgnieniu wygrał, potem z najzimniejszą krwią drugą, trzecią z równem szczęściem i w chwili leżała przed nim kupa złota.

Twarz jego płonęła, oczy bielmem zasłzyły, wygrał ciągle, nagle przegrał wszystko, wyrzucił na stół

co tylko miał przy sobie. Właśnie chciał cisnąć na stół, ostatnie co miał: rękopis swego Hyperiona, kiedy uczuł się pochwyconym za ramię.

— Mój młody przyjacielu — rzekł za nim stojący Orbes — chodź raczej ze mną.

Fryderyk zdziwiony tą serdecznością, której nigdy od niego nie doznał, uległ jak dziecko poszedł za nim, znużony i prawie bezprzytomny.

Obaj odeszli do odległego pokoju i połączyli się z towarzystwem czytających mężczyzn. Dzienniki szły z rąk do rąk, rozmowa się ożywiła pod naciskiem chwili politycznej. Upokarzający pokój tylko co zawarty dawał gorzko uczuć, pod jakby żelaznej ręki ciśnieniem znajdowały się ówczesne Niemcy, jak książęta i ludy razem dźwigały ciężkie głązy do budowy przyszłych wież, jak naród pełen sił przepadał pod wodzą niesumiennej przywódców, a samym synom jak pilno było w pęt niewoli okuć — własną matkę. Fryderyk począł się budzić z swego letargu, sprawa ludzkości jak u Ulricha Huttena, zawsze była — jego sprawą. Zawsze był gotów do poniesienia za nią ofiary, tembardziej dziś, kiedy ból zapukał do jego swobodnej piersi i szarpnął ją tak dziko.

Głosy oburzenia zawrzały do koła, gdy jeden z towarzyszy głośno odczytał ustęp o pewnym znakomitym uczonym, który z powodu liberalnych pojęć głośno objawionych, wyzutym został z godności i posad, jakie zajmował i stał się pastwą nikczemnego prześladowania. Orbes wspominał fakt upokarzający kongresu Rastadzkiego. Podniecone umysły wulkanicznie zawrzały, nie posiadano się w słowach oburzenia, niemniej pewien wymokł senator o pergaminowej twarzy porwał się flegmatycznie na apologię reakcyi, ochrypłym głosem dowodził, że ona jest dobrodziejstwem, podejrzewając wszelkie usiłowania zwrócone ku odrodzeniu zbutwiałej społeczności młodej Europy, obrzucając błotem sarkazmów i potwarzy wszystkich zapaśników emancypacji ducha.

Fryderyk podniósł się, piękny szlachetnem oburzeniem, które granic już nie znało i nim wyrzekł słowo wszystkie oczy nań były zwrócone — piorunującym wzrokiem wzgardy przeszył Senatorską Mość, która zmieszana utonęła w fotelu mietosząc jakiś dziennik.

Wreszcie wybuchnął Fryderyk:

— „I ci ludzie mają czoło zwać się Niemcami! To członkowie narodu, mającego w sobie zarody zgnilizny! Barbarzyńcami ich nazywam, stokroć jeszcze zdziwiałymi przez wsteczną pilność, umiejętność, religię fałszywą! Ostatni mówca nie mówił z siebie, jest on narzędziem nędzników, organem wsteczności Reprezentantem części narodu, zgine! i chorej, zepsutej do szpiku, niezdolnej podnioslejszych uczuć, obruszającej każdego szlachetniejszego ducha, niemniej i bez harmonii, jak czerepy potłuczonego naczynia.“

„Litować się można nad jednostką uwięzioną w ciemności ograniczenia, ale oplakiwać już trzeba naród, który mając głębokie rany nie stara się ich zagoić!... Przebóg! co za rozdarcie wśród konieczności najsiłniejszego skupienia! co za omdlenie przy tyłu siłach, co za samolubstwo w obec rozchodzących się krzyków grozy i niebezpieczeństwa! Rzemieślników mnóstwo, a nigdzie ludzi, rozmyślaczy, kapłanów! tyrani i niewolnicy, dzieci a starcy, durnie i Salomony — ale nie ludzie! nie ludzie! Pobożowisko pełne rąk i nóg, kędy krew żywa płynie nietamowana. Nawet cnoty wasze, o Niemcy! są tylko świecącą nędzą!... koniecznością z konieczności! wytargowaną przez tchórzostwo — na niewolnikach!... Bez poparcia zostawicie każdą szlachetniejszą duszę, która przystępna pojęciu piękna, która nie zniesie zgrzytu z jakim dobro ściera się i ulega w walce z złem —

krzyku, który w niebogłose woła w obec całej ludzkości! Wolność a miłość — oto dwa skrzydła wielkiego czynu!... Niewola zabija — wojna słuszną ożywia. Złoto w ogniu nabiera słonecznego koloru. Człowieka młodym czyni dopiero zdarcie własnych kajdan! Jedyny ratunek zdeptać naturę tej hydry, łeb zmiażdżyć tej, która depce nasze stulecie i niweczy wszelkie dobre nasienie reakcją!“

Senator trzęsący się powstał i usiadł... pozostał na miejscu — cisza uroczysta zapadła — nikt słowa dorzucić nie śmiał. Uwaga ogólna zawisa na ustach mówcy, który nieco ochłonawszy z większym spokojem mówił dalej mimo gościów lalkowatych senatora.

— Niemaż nie świętego na tym padole, czegoby niewola nie zbezcześciła i nie zniżyła do nędzy swego czynnika, by nadal pełznąć po ziemi było jej użytecznem, by sobie nie pozwoliła na przyszłość wolno zamaryżować i na własną rękę snując działać w olbrzymim kołowrocie tych światów, by wszelka wola poddała się niewoli. Ale sąd niemniej nastąpi! Wiedzą kędy i które dy wędrują gwiazdy niebieskie. Wy profanujecie, rozzdzieracie i burzycie — one żyją w wiekuistej młodości i potędze, oto symbole ducha! tych nie zniweczyć!... Wyszyszcie zwiastunów wolnej myśli z tej i tamtej strony Renu, ich błędy dowodzą ich ludzkiej ułomności, a ich zbłądzenie nawet szlachetniejsze jest, jak wasza rachuba. Kędy jest naród, który ukochał piękno i geniusz w swoich artystach a ideał uwielbia w rozmyślaczach swoich, tam musi żyć i miłość wolności, tam zejść musi słońce prawdy promienistej, które dosięgnie i roztopi lody egoizmu aż w ich piwnicach i szlachetnieć musi kiedys wszelkie serce — bo natchnienie tworzy bohaterów!... W niem jest początek wszelkiej cnej ludzkości, siły, szlachectwa duszy i czynu! swoboda zeń rozpromieni się nad wszelkie boleści, i będzie spokojem chat i pałaców!... Ale gdzie, jak u nas obelgę zadają naturze w osobie człowieka obciążonego piętnami społecznymi, tam wiednąć musi najlepsza część życia, pustum i martwem staje się wszystko dokoła, natomiast buja przemoc a z nią zachwalstwo, z troskami idzie pijaństwo rozpacz, a za zbytkiem nędza i troska, na złe wychodzi niewolnikom wszelkie błogosławieństwo natury, a wszyscy bogowie pierzchają od tego obrazu... Germanio! żyjesz dziś w mózgach twych ideologów i w ustach twoich nieprzyjaciół! Wieszcież twoi najwięksi zobczali wędrują przez życie jak cierpliwy Ulisses, kiedy żebrakiem siedział pod drzwiami, gdy bezczelni biesiadnicy w komnatach jego wyprawiali dzikie orgie, pytając kto nam przywiódł przybysza dziwaka?... Ale jeszcze szumią twoje lasy rodzima strono i płyną naprzód jeszcze rzeki twoje!...“

Nagle wszczął się wielki rozruch, pochwycono fałszywego gracza, który w sali wniósł się w tłum słuchaczy. Począł się bronić. Jedni wzięli jego stronę, inni go obwiniali i wieczór zakończył się fatalną sceną. Zdarzenie to i poprzedzająca je mowa gruchnęły po całym Homburgu i dalej.

Wiek dziewiętnasty począł się wypadkami, które oddziaływały na wszelkie uczucia patriotyczne i zasmucić musiały wszelki umysł radujący się postępowi ludzkości. Kongres Rastadzki, deputacya państwowa, pokój Lunewilski i w Amiens, rozwarły przepaść między narodem a dzierzycielami władzy i wystawiły na jaw wszelkie słabe strony państwa mającego dzierżyć kaganiec oświaty. Nie brakło też na oznakach wzburzenia mimo tam zewsząd stawianych. Także w Sachsenhausen, przedmieściu Frankfurtu nad Menem, gorąca młodzież porwała się do manifestacyi. Dnia 14. Lipca postawiono drzewo wolności na pamiątkę zburzenia Bastylli, z niektórych domów powiewała trójkolorowa chorągiew, a piosnki

powstańcze rozlegały się po ustroniach. Ramie śledcze sięgało wszędzie, podejrzenie i ciągła czujność przerażały ogniska rodzinne. Rewizye, aresztowania weszły w modę i rzecz prosta, że odezwanie się śmiało Fryderyka w Homburgu nie uszło baczności zerkujących ślepiów. Wzły towarzyskie zwolniały, przezorność i tchórzostwo, potwarz i mściwość walczyły o lepsze w gmachach sądowych. Dnie brzemiennie niedola!

Fryderyk nie myślał już prawie o swoim przejsciu, osobisty los nadto mიაlł jego sercem, czuł, że coś o sobie postanowić musi i to niezwłocznie! Zuzanna stała się treścią jego istoty i fatum jego rzymskiej pialgrzymki. Wszędzie był mu obecnym obraz jej czysty i uroczy, postać szlachetna i wspaniała... Jej pomysłność, spokój, były mu powierzone—te zapewnić jak najprędzej czuł się obowiązany. W obec tej myśli milczeć musiała nawet boleść bezbrzeżna, nawet najsilniejsza tesknota na myśl rozstania. Napisał list pożegnalny, którego treścią był jeden krzyk bólu wydartego z wnętrza człowieka. Posłał list na miejsce przeznaczenia i już był na drodze oddalenia się na zawsze z miasta. Jeszcze jedno spojrzenie ku ustroniu, które ona zajmowała, ku wszystkim miejscom, które opromieniała, — ostatnie posłał westchnienie przed daleką wędrowką.

W tej chwili stanął przed nim nieznajomy i wezwał go, by szedł za nim. Fryderyk prawie nie dosłyszał i nie zauważył jego wezwania — nieznajomy powtórzył wezwanie, wreszcie rzekł:

— W imię prawa, mój panie! jesteś aresztowanym!

Tu okazał papier sądowy. Tuż za nim szli zbrojni — widząc daremność obrony prawie obojętnie uległ młodzieńiec, któremu błędnie w mózgu kołowały następstwa tego wypadku.

Milcząc poszedł za zbirami, po chwili zamknięta cela więzienna objęła bezsensownego.

Ta jedna noc sprawiła, że w niej z młodzieńca dojrzał mąż. Przeczuli on teraz jasno całą przyszłość swego żywota. Ciemność, śmiertelna cisza, w której słyssał młot własnego serca, rozlegały się przerażająco do koła. Wszystkie demony rozpetanej fantazyi godziły na to pasujące się z losem ludzkie, sieroce dziecko i świątający poranek zastał złamaną, do niepoznania zmienioną postać.

Nagle zniknięcie Fryderyka sprawiło silne wrażenie w domu Gontarda. Komisarz policyi, jakkolwiek osobisty znajomy, nie mógł oszczędzić dowowi przykrych formalności — i miejsce tak poszukiwane za dni pokoju, ognisko nauki i świątynia muz była pusta, tchórzostwo polityczne unikało jej, jak domu zapowietrzonych. Czarne dnie nastąpiły dla Zuzanny, teraz poczuła położenie swoje w całej pełni. Orbes dał jej poznać ogólnie, że inny jeszcze powód połączył najniefortunniej ucieczkę liberal-

nego pisarza niemieckiego, z odkrytym spiskiem republikańskim, mocno rozgałęzionym. Tej samej nocy chwycono kilku młodych ludzi, ucieczką chcących się ratować, znaleziono przy nich broń, odezwę i listy, które cała sieć republikańska odkryły. Naturalnie, że nic takiego nie odkryto przy uczonym Orbesie, „pięknym doktorze“, jak go zwano, a pamiętna filipika Homburska, w której tak rozsądnie — dwulicowo miał takt się zachować, już sama odwróciła od niego wszelkie podejrzenie.

W biurze komisarza policyi, mocno zajętego, oznajmiono przybycie pewnej damy. Była nią Zuzanna Gontard.

Urzędnik oczom swym nie wierzył. Ta pani znalazła się raptem w gmachach policyi. Po chwili odrzekł:

— Nie żądam pani odemnie tylko niepodobieństw.

— Pan wieżysz niewinnego, za nim się wstawic kaze mi najświętsza powinność i nie ma prawa etykiety ani płci ani wieku, któreby mi broniło wystąpić w sprawie ludzkiej, z wszelką bronią, do jakiej tylko będę się uciec mogła...

— Uwielbiam i podzielam zasady pani — po za tym domem, tam będę bronił każdego, jako człowiek — tu sądzić muszę, jako urzędnik!

— A jeżeli by was wasza nieomyślność — omyliła?

— Gdzie dowody, że powód ucieczki tego pana był inny, jak tych wszystkich, których tejże nocy pochwytano?

— A jeśli dowód jest?

— Wtedy nie jest niepodobnem, by więzien natchmianst nie był wypuszczonym.

— Oto pan masz ten dowód, który wymogłeś — tu Zuzanna z nadludzkim poświęceniem osobistym podała mu list pożegnalny Fryderyka — oddaje panu razem i cały skarb mej dobrej sławy i najdroższą pamiątkę dla jego uratowania, bo tylko ja wiem o niebezpieczeństwach, jakie mu grożą za kratą więzienną.

Komisarz zdumiony i nie bez wzruszenia przeczytał list, który złożył w zamyśleniu. Nastąpiła pauza najstraszniejszego oczekiwania dla nieszczęśliwej niewiasty.

— Przyjacieli domu pani, nie urzędnik, zapytuje, czy pani rozważyła wszystkie skutki, jakie krok ten za sobą pociągnie? Ten list musi być przedłożony całemu kolegium sądowemu.

— Tak jak i w obec sądu mego sumienia i przekonania.

— Które jednak podsumowywać „musimy“ sądom i wyrokom świata. Krok jeden a przeszłość pani przepaścią oddzielić się może od jej przyszłości niepewnej...

— Raz jeszcze, czy może być wolnym, czy nie?

Komisarz przystąpił do bióra, schował dokument między stosem papierów i rzekł poważnie:

— Uspokój się pani, obżałowany jest — w ołnym!

(C. d. n.)

PRZEGLĄD RZECZY SŁOWIAŃSKICH.

Plemię słowiańskie jest wielkim śpiewakiem. Słowianin włożył w pieśni swoje najkрасniejsze utwory swego ducha, najszlachetniejsze i najwyższe objawy swej myśli, rozkosz i żal — więcej aniżeli uczucia swoje, bo istotność całą w pieśniach wysłowił. To szczególnie odnosi się do Bułgarów.

Pieśń słowiańska jest obecnie na polu uniwersalnej poezyi pojawem zgoła samodzielnym, niewiele ma współ-

ności z jednej strony z symboliczną poezją Indyi i klasyczną Greków, z drugiej z romantycznością narodów romańskich i germańskich, ale znajduje się w pośrodku. Spostrzegamy w niej bowiem cześć dla przyrody i odbicie się uczuć człowieka — i ta to właśnie harmonia dwóch ostateczności jest treścią słowiańskiej pieśni.

Z praojczyzny swej Indyi, którą można nazwać obszerną świątynią ku czci przyrody, przynieśli Słowianie

podstawy tego kultu do nowych swych siedzib i tak się nam wyjaśnia ta wielka cześć dla natury w piersiach naszych ludowych. Słowianin z radością pozdrawia pierwsze wiosenne jaskółki, pierwszy kwiatek rozwinięty na tętniącem łonie przebudzonej ziemi, żali się nad zwiędłą lilią, opadającą różą, z bolesnem sercem żegna ostatniego odlatującego ptaszka, w szeleście sypiącego się liścia jesienią, dźwięki pogrzebowe słyszy. Nawzajem natura staje się jego najlepszym druhem, z nim płacze, z nim się weseli, radzi mu, pomaga; służy, jest jego kolebką i grobem, stróżem aniołem przy urodzeniu, pociechą przy śmierci.

Dlaczego naprzykład u Germanów nie ma tej przyjacielskiej łączni z naturą, łatwo objaśnić: oni niszczyli ją — my pielęgnowali, Niemiec był myśliwcem — Słowianin rolnikiem.

W najstarszych pisemnych i ustnych pomnikach bułgarskich, w obyczajach i baśniach ludu znajdujemy wiele rzeczy, które nam żywo Indyę przypominają. Prawdę tę wypowiedział, pomiędzy innymi, czeski Szafarzyk i Bułgar Rakowski. Nie rozszerzając się więc o tem dalej przechodzę do samej rzeczy.

Kto zna bohaterskie rapsody Serbów, nie łatwo przecież wyrobi sobie pojęcie o pieśniach bułgarskich. Oba te plemiona, oprócz podobnej mowy, miały oddawną i podobne koleje, a jako dawne sąsiady żyły w przyjacielskiem przymierzu. Tem się tłumaczy, że często i w obecnej dobie schodzą się pieśni bułgarskie z serbskimi. Nie sądzimy jednak z pozoru! I w bułgarskich pieśniach spotkamy się często z owym bohaterem serbskim — Markiem królewicem, ale ledwie, że go poznamy — już ślad się zaciera. Oprócz tego mówią one o Wołochach, Grekach i Arabach, dotykają się Tatarów, ba. Węgrów i Niemców.

Nie wiem, czy poczytać to należy za fatalną wskazówkę doli słowiańskiej, ale wszystkie nasze pieśni tchną głębokim wewnętrznym bolem, nieukojoną tęsknotą, cichym smutkiem. Słowianin śpiewa w żalu i w radości, czy w niespełnionem pragnieniu, czy w duszącej trosce, po zdradzie przyjaciela i w niewzajemnej miłości. Jednak to tchnienie smutku nie u wszystkich plemion słowiańskich równie natężone — i to zauważyć potrzeba.

Są w rosyjskich ludowych pieśniach rozpaczliwe okrzyki, tkliwa tęsknica w małoruskich dumach, oburzenie w czeskich pieśniach, ale pod niemi kryje się często uśmiech i żartobliwość serdeczna, bułgarskie zaś i serbskie śpiewy mają w sobie jakąś męską głębokość, która nigdy w huczną wesołość nie przechodzi.

Tu należy zauważyć, że kiedy pieśni czeskie są wyraźnie liryczne, pieśni bułgarskie są czysto epickie a nawet w tak zwanych „pieniach „miłownych“ (miłośnych) nie znajdzie się ani troszke subiektywności lub lirycznego pierwiastku. Czasami chyba trafi się dyalog. Fakt ten wypływa z powagi ich, powaga zaś owocem stosunków narodu i otaczającej go natury. Nieustanną walką zajęty Bułgar nie mógł dojść do tego procesu moralnego, którego płodem jest poezja liryczna. U nich było każde indywiduum bardziej samodzielnem, więcej twórcą kolei swego życia, niżeli u nas i w Czechach, gdzie każdy stał się oddawną członkiem organizmu państwowego, gdzie życie jednostki nie mogło tak łatwo wybiec z zakresu torów.

Cóż dziwnego więc, że potężna wola, osobliwe męstwo i siła mężów znamienitych, zaalazły swoich śpiewaków, którzy czyni wielkie przenosili z pokolenia w pokolenie?

W Czechach była także pora bohaterskich rapsodów; do niej odnoszą się „Zabój“, „Cestmir“, karty rękopisu

krółodworskiego; śpiewy te jednak nie były snąc nigdy popularnymi, a jeśli i były, nie było srodka, którymby aż do czasów naszych w ustach ludu się utrzymały.

U Serbów starcy, ślepcy (gęslarze) przegrywając sobie na gęśli, w śpiewie przenieśli aż do dziś sławę Marka bohatera i ostatnich narodowych szermierzy; u Bułgarów zaś tę szczytną rolę konserwatora tradycji mają dziewczęta i niewiasty młode.

W uroczyste święta, jakoto: na Wielkanoc, „Gjurgjew deń“ (św. Jerzego) i inne, jakoż i przy oczewianiu dziewcząt i innych obrzędach zebrane dziewczęta, ustrojone świątecznie, tworzą koło (buł. oro, horo, — chór, korowód). Zabawa ta podobna do tańca południowych Słowian odbywa się tak: Dziewczęta podawszy sobie ręce utworzą koło, kręcą się i śpiewają. Jedna intonuje zwrotkę, inne wpadają i dopiewują pieśń razem. Taktora ma najdźwięczniejszy głos i najwięcej krasnych umie pieśni, nazywa się „chorowodką“ t. j. królową tańca.

W pieśniach samych mówi się o trzech takich kołach, z których jedno tworzyły dziewczęta, drugie mężatki, trzecie młodzieńcy.

Wywiodę z pieśni przykłady, w których jest mowa o takim kole. aby wykazać jego ważność:

Jovan złapał wilę *) i ożenił się z nią. Trzyma przez trzy lata zakutą, ale na Wielkanoc puszcza ją grać z innemi w koło.

Święty Dymitr morduje obrowskiego smoka, któremu dziennie dawano po młodej dziewczynie, aby nasycił żarłoczność. Skoro święty zadał mu pierwszą ranę, wyrzucił smok trzysta sześćdziesiąt dziewcząt żywych i kwitnących, które uchwyciwszy się za ręce zawiodły koło.

Wrażenie otrzymane z pieśni bułgarskich porównać można do podróży przez ich kraj. Idziesz i widzisz to obszerne pole falujące ciężkim kłosem, to doliny Bałkanu z uroczymi ogrodami róż, a tuż i Bałkan z ciemnymi, szumiącymi lasy i dziwną krasą urwisk skalistych, słyszysz i pieszczalkę pasterską i brzęk broni hajduckiej, kukulki kukanie i skrzydła orlich szeleści, a wysoko nad tobą aż w błękitne obłoki unosi się sokół siwy. Kilka przykładów pokaże w jakim stosunku zostaje natura do człowieka — Bułgara.

Pod wysokim ciemnym gajem leży hajduk Veljko ze swym synem:

„Poduszką mu czarna ziemia z trawą zieloną,
„Nakryciem mu złote niebo z srebrnymi gwiazdami.“

Albo nad śmiercią młodego hajduka:

„... zapłakala twarda góra,
„A na górze gaj wysoki, a na gaju cienkie liście,
„A na gnieździe młode ptaszki, a na ziemi gęsta trawa.“

Turcy-janczarowie wpadli do kraju w jassyr biorąc dziewczki, niewiasty i młodzianów — potem się niemi podzielił. Późnym wieczorem wyszedł młody janczar przed swój namiot, popatrzył się w górę, popatrzył się na dół

„Na czarnej ziemi błękitne płomienie,
„Krwawy deszcz spada z błękitnego nieba.“

Zwróci się tedy wojak do swej niewolnicy i spyta czy miała brata i po czem by go poznała. Dziewczyna odpowiada: „Miałam ja brata a poznałabym go po ranie od broni siecznej na głowie, po ranie od broni palnej na piersi.“ I młody janczar poznaje siostrę; przypadek taki gdzie natura sama strzeże, ażeby nie łączyli się ze sobą krewni najbliżsi, w pieśniach nie jedyny. Wielka część śpiewów junackich na tem osnuta.

*) rusalkę.

Mąż odchodzi od młodej żony do wojska. Przy pożegnaniu żona mu daje kwiatek z temi słowy:

„Jesli kwiatek ten uwiednie
„Tom niewierna była tobie.“

Jak się obchodzi koń z człowiekiem, widać z następstwa urywku. Janko leży zabity —

„Jego koń po nad nim stoi,
„Grzywa głowę mu ocienia,
„Ogon chroni przed muchami,
„Oko roni łzy drobniutkie;
„Nad nim stoi — przy nim pada,
„Przy nim pada — sam bez ducha.“

Stojan bezsilny leży na Bałkanie, a nie ma kto by go pielegnował. Natura się o to postarała:

„Dojrżeli go dwaj orłowie,
„Dwaj orłowie bracia mili
„W dziobach wodę mu nosili,
„Cień skrzydłami mu czynili.“

Wdzięczny Stojan mówi do orłów: Jak mnie dusza opuści, białego ciała się najedzcie, ciemnej krwi się napijcie. A orły odpowiadają:

„Nie przyszliśmy tu Stojanie,
„Byśmy się twej krwi napili,
„Lecz przyszliśmy tu Stojanie,
„Pielegnować cię chorego.“

On ich na to nazywa swymi braćmi i pyta, czy znają jego dwór. Niech tam polecą, na środku podwórca na wysokim debie siedą i biedę jego starej matce zwiastują.

To jedno poselstwo. W innem miejscu dziewczki tańczą w kole, nadlatują trzy orły: jeden trzyma głowę, drugi rękę, trzeci nogę z męskiego ciała. Pierwszy orzeł upuszcza krwawą głowę, ta spada w środek koła. Jedna z dziewcząt poznaje w niej głowę swego brata. — W nabożnych pieśniach anieli sprawują poselstwa.

W innych pieśniach posłami są jaskółki, słońce i miesiąc, wietrzyk i obłoki.

Króla Matyasa Turcy sędzili za to, że zelżył ich wiare. Sędzili i osadzili. Miał do wyboru poturczyć się albo wisieć lub być spalonym. Najmłodsza siostra mu radzi:

„Niebiesze się, nieturczyże się
„Raczej, bracie, daj się spalić.“

PRZEGŁĄD TEATRALNY.

(„Nerwowy.“ — „Zbójcy.“ — „Pan Geldhab“).

Ten, co to pisze, już tyle razy Jeremiaszową wyrzekał skargą na dzisiejszy kierunek literatury dramatycznej we Francji, iż prawdziwe ma wytechnienie, mogąc bez goryczy powiedzieć słowo o 3 aktowej komedii Teodora Barrière i W. Sardou: „Nerwowy“ przedstawionej dwukrotnie w zeszłym tygodniu (d. 4. i 5. b. m.). Sztuka ta napisana z szalonym a gładkim humorem, wolnym od obrazów półświata, przewija się szeregiem kolizyj wielce komicznych, w jakich się poplątały losy trzech „nerwowych“ starców, pragnących wydać za mąż wspólną wychowanicę a niechęcych z wrodzonego egoizmu poświęcić groszą na posąg. Autorowie komedyi odbyli głębokie studjum patologiczne nad tym stanem cielesnym i umysłowego rozdrażnienia, który nazwali nerwowy m. Tacy ludzie próżniactwem i czczością życia wytworzeni uchylają się od wszelkich mocniejszych wrażeń, a gdy nadejdzie chwila, w której takie wrażenia tłoczą się ze wszystkich stron, pojmiecie co za rozpacz opanować musi ich apatyczne umysły! Celem też komedyi jest wyzyskanie komiki tkwiącej w takim powikłaniu, a cel ten został przez dowcipnych autorów zupełnie osiągniętym. Intryga za to sztuki nie ma żadnego sensu logicznego i służy tylko za płótno, na którym odmalowano kilka wy-

On usłuchał. A kiedy już stoi na stosie płonącym, nagle silny wiatr powionie,

„Strugi deszczu lać poczęły,
„I zgasiły silny płomień.“

Przyroda wykonywuje klątwę pokrzywdzonego i sprawuje sądy, wykrywa winę, karze zbrodnię a oczyszcza skalaną niewinność. Matka zamordowała nocującego wędrowca — był to jej syn. Koń jego wydał zbrodnię rano.

Brat ma podejrzenie na siostrę, że ona zabiła jego syna. Kiedyś mi zabiła dziecko, ja ciebie zabiję! Siostra prosi aby dworu krwi nie walał, ale zaniósł ją na górę zieloną, tam jest sucha jedlina, spróchniały dąb i wyschłe źródło. Jeżeli mu dziecko zabiła, to niech nigdy to źródło bić nie zacznie, niech dąb spruchniały takim wiecznie zostanie a jedlina się nie rodzi!.. Doniósł ją do góry (lasu) zielonej, źródło trysło, dąb spruchniały się zazielecił i jedlina odrosła.

Klnie matka swego syna, aby wpadł w niemoc, orły żeby mu grób kopały a kawki księżmi były.

Tu także i sny przynależą.

Córce marzy się we śnie „gergjov“ (przyrząd do wyszywania, nakształt stołu) a nad nią sokół ze złotym dzwonkiem na karku z dwiema plamami na skrzydłach. Matka tłumaczy: „Gergjov“ to znaczy ślubny kobierzec, siwy sokół — miły Mikołaj, złoty dzwonek — to swaty a dwie czarne plamy — księża, co będą wam ślub dawać. A córka na to: Stara jesteś a nierozumna! „gergjov“, to trumna, siwy sokół, to ja, złoty dzwonek — twój głos, dwie plamki są księża, co śpiewać będą nademną.

Dalej przedmiotem pieśni bułgarskiej jest miłość do rodziny i ojczyzny, przyjacielskie poświęcenie i wierność, szczególnież mężstwo i niezłomna wiara. Co do treści można by je podzielić na tak zwane pieśni „o wilach“ (rusalkach), pieśni pobożne (kościelne), junackie czyli bohaterskie i hajduckie, pasterskie i miłosne, do nich dodać trzeba pieśni żałobne i obrzędowe, w zbiorze braci Miladenowców zawarte, oraz inne przygodne w różnych zdarzeniach życia śpiewane.

(Dok. n.)

bornych typów. Bardzo należy pochwalić, że autorowie nie wstąpili na szersze pole i nie stworzyli poważniejszych sytuacji, bo „nerwowy“ temperament, jako głębszy motyw byłby niedostatecznym i w sztuce nawet wstrętnym. Zawsze to bowiem tylko pewien rozstrój fizyczny — wyprowadzać zeń kolizye bardziej na seryo pojęte, sprzeciwiałoby się zdrowo pojętej istocie sztuki. Tak zaś jest wszystkiego w miarę, a śmiech wzbudzony komedya jest doprawdy — bez miary... Wykonaną była zadowalniająco. PP. Dobrzański (Marteau), Podwyszyński (Bergerin) i Linkowski (Tuffier), stworzyli trzy postacie zupełnie odrębne, wielce typowe i wierne, których wspólnem tem była tylko zbytnie naprężona drażliwość nerwów. Podnosimy tu również pełną lekkiej swobody grę pana Woleńskiego (Cezar), który umie nadawać bardzo miły, bo na wskrós naturalny wyraz postaciom stworzonym przez się w komedyi. Jest to przymiot, który oby najrychlej przeniósł na pole dramatu. Pani Woleńska (Marya) była również nader powabną złością.

W Niedziele (d. 7. b. m.) odegrano 5-aktową tragedya Szylera „Zbójcy“. Było to jedno z przedstawień, które silniej napręża myśl widza i do rozleglejszych pobudza go zastanowień. Dziwne są przejścia tej tragedyi. Od czasu, jak pierwszy raz ją przedstawiono, obudzała

zawsze szczerzy entuzjazm u widzów, a równocześnie surowo była potępiana przez krytykę. Młody i burzliwy umysł Szylera, gdy pisał „Zbójców“, rozgoryczony despotyzmem, jakiego stał się pastwą w „szkole Karola“, lubował się w ostatecznościach i negacji. Późniejszy, ze światem pojednany Szyler, który swemu najpiękniejszemu bohaterowi każe umierać z przyznaniem na ustach, „że świat jest piękny“, nie byłby stworzył postaci pozbawionej do tego stopnia wszelkiej pozytywnej treści moralnej, jak Franciszek Moor. Ale w chwilach, gdy w duszy jego ognistej wykuwały się te wszystkie pojęcia wolnomysłne, na pozór burzące harmonię świata a właściwie przychylające ludziom ideał, tworzenie takich nie po ludzku ukształtowanych postaci było naturalnem. Jest to charakterystycznem tak u Szekspira, jak u niego, że zaczęli swój zawód śmiało rzuconą negacją, ażeby kiedyś zwolna i logicznie zażeglować do prawdy. Nie dziwota, że przed umysłem młodym a skrajnym prawda zawsze się kryje, jak posąg Izdy w Sais... Dlatego postaci Moora nikt nie przyzna uprawnienia w życiu, jest to synteza złego rozprószona w jednostkach a zebrana tu w jednym charakterze. Nie w tem jednak ma swoje źródło pewien niesmak estetyczny, jakim dotyka nas widok tej postaci. Niesmak rodzi się z gminnej płaskości motywów, które popychają Moora do zbrodni, jak i z owego braku wszelkiej jaśniejszej w nim strony duchowej, którąbys swoim płaszczem, choć po troszę przysłoniła nagi kształt występku. Gdyby Moor postawiony był na szerszem polu działania, gdyby w tragedji grały rolę jakie żywioły dziejowe, powszechno-ludzkie, wielka zbrodniczość jego miałaby szerszy horyzont do rozprzestrzenienia się i okazania w pełni swojej istoty. Przy tak szczupłej jednak perspektywie scenicznej tworzy się brak harmonii pomiędzy celem a środkami — gubi się prawda, która na innem tle mogłaby wywrzeć głębokie wrażenie. Tu się różni od wielu utartych sądów, które zaprzeczają Franciszkowi Moor prawa w sztuce, dlatego, że jest skończoną negacją prawideł moralnych świata. Każdy bohater oddany wyłącznie i całkowicie swej idei (a tak być musi!) jest zaprzeczeniem ogólnych prawideł — a przecież pozwalamy być mu charakterem poetycznym dlatego, że działa z przekonania. Otóż i Moor ma swoją starannie opracowaną, z ponurego rozmyślenia, długich godzin wysnutą filozofję życia, która się stała jego wiarą i przekonaniem, a zarazem siłą popychającą go do zdruzgotania „przesądów“ ludzkich. Moor nie czuje, że się ludzi, że kłamie przed sobą, — gdyby to czuł, a mimo to działał występnie, byłby postacią już niezaprzecznie pozbawioną znamion poetycznych, ale że Moor wierzy w swą filozofję, a pogardza pojęciami świata, że podług tego systemu wiary żyje, to mu nadaje uprawnienie do pewnego stopnia. Ze się Moor pomylił, że jego filozofja była raczej kłamstwem a prawdą stara moralność świata, że taką omyłką na szwank naraził istnienie wieczystej moralności, dlatego ulega rozprężeniu wewnętrznemu duszy i ginie. Tryumf wyższych pojęć jest zapewniony, ale Moor, wychowany pod takimi wpływami, napojony goryczą i odrazą do świata, może także żyć w sztuce... Gdyby żył jeszcze przy ostatniem zapadnięciu kurtyny, dałby Szyler policzek duchowi prawdy, ale że go już nie ma w ostatniej scenie, że się sam poprzód zniszczył, jak niweczący wszystko i siebie duch kłamstwa, — budowa moralna świata jest uratowana. Nie należy jednak poetom za często igrać z postaciami tak wysrubowanymi jak Franciszek Moor, bo tam w zawrotnych sferach fantazyi noga się łatwo powinie.

Pan Ładnowski (Franciszek) nadał swemu pojęciu tej roli piętno odrębne... W jego grze wydaje się ta po-

stać przepołowioną, dusza Moora areną ciągłego sporu pomiędzy sumieniem a występnyimi popędami. Nie jest to jeszcze postać o klasycznym spokoju zbrodni, jak u Jana Królikowskiego, który w dwóch pierwszych aktach, ma już tylko wyraz ironii, ale człowiek pasujący się i gorączkowym ciągle dreczonym niepokojem, jakby przeczuwał intuicyjnie kruchość swej przewrotnej sofistyki. Ztąd u p. Ł. postać Moora w całym jej rozwoju jest napuszczoną kolorytem ponurym; dusza jego niweczy się ciągłym ogniem własnych piersi, sumienie przeziara ciągle przez sztuczną powłokę sofizmu i mąci każdy moment życia. Na gruncie tych ciągłych, chociaż utajonych udreczeń duszy łatwiej umotywować później obudzenie się gwałtowne sumienia i całą wielką scenę aktu V. Podziwialiśmy u p. Ł. suchy, wypływały koloryty, jaki nadawał swej namietności, ilekroć nią wybucha ku Amelii. Taką być właśnie ta namietność powinna, gdyż jest ona więcej objawem brutalnego znęcania się Moora nad sierotą, gdy został raz panem zamku, aniżeli szczerą potrzebą serca. Cynizm więc i zwierzęcość powinny w niej zastąpić wszelki wyraz duszy. W ogóle cała gra p. Ł. jest bardziej wewnętrzna, niezawisła od kolei zdarzeń, ale z siebie snującą wątek życia i upadku.

P. Woleński (Karol) stanął na przeciwnym kresie artystycznej fantazyi i duszę zastąpił efektem, wspinała to prawda, ale próżna deklamacja. Prometejski zapal tego młodzieńca, który w duszy pieści dwa ideały — Amelię i nowy ustrój świata, jego delikatna fantazyjność i razem gorycz dla ludzi, od których tak został pokrzywdzonym, zatarły się bardzo w grze p. W. i zjednoczyły w jednostajnym wyrazie rzewności, jaki nadawał wszelkim silniejszym wybuchom Karola. Panna Rudkiewiczówna (Amelia) nie umiała powlec swej roli idealnym kolorytem, jaki jej nadał Szyler; głos jej i fizjognomia zamało uwydatniły wyraz niezgłębionej boleści, słowa Amelii sączyć się powinny tak rozlzwione, jak jej wzrok szklanny... P. Wardzyński (Roller) nakreślił swą niewielką ale piękną rolę szlachetnymi rysami, pełnymi szczerzej naturalności i jędrnej siły. P. Dębicki (osoba sądowa) przybrał wyborną, po wielu scenach niemieckich używaną maskę i przeprowadził tak pojęty charakter konsekwentnie i bez łatwej przesady. Nakoniec zasługuje na gorący poklask wprowadzona innowacja, w skutek której skończono tragedję najtrafniejszym pomysłem Szylercowskim, gdzie on Franciszkowi samemu każe się udusić. Jest to jedynie poetyczne i rozwojem całej sztuki uzasadnione zakończenie.

Jeden z najwyborniejszych typów Fredry przedstawił we środe (d. 10. b. m.) p. Dobrzański — „Pana Geldhaba“. Należy przyznać młodemu artyście naprawdę wielką zrzeczność w charakteryzowaniu się, a następnie prawdziwą płodność fantazyi, która mu pozwala w rdzeniu różnych występować postaciach, a zawsze nadawać im kształty oryginalne, różne... Przy tak bogatych zasobach twórczości i sumiennem zawsze studjum życia i sztuki, może rozwinać się z czasem w bardzo pożytecznego artystę. W roli Geldhaba potrafił uchwycić właściwy jej ton, kojarząc w urozmaiconej mozaice pyszałkowatość dorobkiewicza, egoizm i tchórzliwość, brak wszelkiego oparcia na własnej sile charakteru i gminne maniery, powleczone z lekka tylko małpowaną ze salonnów oglądą. Szczególnie dobrze ujętym był wyraz rokosznego Sybarytyzmu i rozlubowania we własnej nędznej figurze. Komika p. D. nie wykraczała po za właściwą miarę, jakkolwiek należy mu wytknąć jedną, ogólną wadę tej roli... Jego Geldhab jest przecież za płaskim. Jakbykolwiek była jego prozapia i wrodzona pospolitość umysłu, ociera on się ciągle o sferę wyższego tonu i

światowych manier; natury zaś tak przywiązujące się do pozorów i błyskotek, jeżeli co, to z pewnością najpierw pochwyca i przyswoja sobie zewnętrzny blichtr i polor towarzyski. Otóż byłoby w Geldhabie motywem dla artysty bardzo wdzięcznym, uwydatnić obydwie czyn-

niki, które się złożyły na tak szacowną postać, z jednej strony wrodzoną mu gminność, z drugiej lekką pokost wykintnego tonu. W przeciwnym razie charakter nabiera pewnej błazeńskiej karykaturalności.

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

LITERATURA I ESTETYKA. Album historyczne muzeum narodowego w Rapperswyli ma wyjść z druku w ciągu bieżącej wiosny. Będzie to edycja ozdobna z drzeworytami, zawierająca kilka źródłowych prac, jak rozprawa: „O zaborach szwedzko-moskiewskich bibliotek i muzeów polskich,” „Spis wygnanych Polaków na Sybir od st. Leszczyńskiego do roku 1860” itd. Redakcją zajmuje się J. I. Kraszewski.

— W Pradze wychodzić zaczął: „Słownik (Panteon), zbiór portretów, autografów i żywotów znakomitych mężów słowiańskich,” nakładem Bartla Praga 1872. Tom I. w wydaniu ozdobnym zawiera staloryty Jungmana, Palackiego, Havliczka i Karola Skrety, jakoteż ich wyczerpujące życiorysy. Wydawnictwo to po jawiać się będzie w miesięcznych zeszytach.

— Otto Ludwig. *Schakspeare-Studien. Aus dem Nachlasse des Dichters, herausgegeben von Moritz Heydrich.* Leipzig. Cnobloch 1872. Książka napisana z głębokim uwielbieniem dla Szekspira wyprowadza z jego dramatów prawidła wszelkiej kompozycji dramatycznej. Zawiera mnóstwo śmiałych i oryginalnych poglądów na naturę dzieł angielskiego poety, jakkolwiek przyznać należy, że potępiając wielu dzisiejszych poetów na tem polu nie chce uwzględnić zmienionego ducha czasu, który musi na każdej formie poetycznej wytlóczyć swoje piętno.

POEZJA. *Nastasia, dramat w 5 aktach osnutym na tle dziejów Rusi Czerwonej z drugiej połowy w. XII, przez Denisa z nad Seretu.* Lwów 1872. Bohaterem dramatu jest Jarosław Ośmiomysł, książę haliński (1153—1187). Jakkolwiek utwór posiada wiele usterek, (np. brak konsekwencji w charakterach lub nieprawdopodobieństwo tychże), przyznać atoli należy autorowi trafny wybór przedmiotu w chwili pełnej dramatyczności i zajmujący układ, z kąd wróżyć należy powodzenie sztuce na scenie ruskiej.

— *Artur Wołyński* przełożył na język polski Tassa poemat: „Jerozolima wyzwolona.”

— *J. M. Himmelmblau* w Krakowie ogłasza nowe wydanie poezji *Edmunda Wasilewskiego.*

— W Pradze zaczęła wychodzić w nader ozdobnej edycji *Biblioteka utworów dramatycznych oryginalnych i tłumaczonych* pod red. Józefa Stolby. Tom I zawiera komedję Stolby: „Zakazane owoce.” W II tomie wyjdą: „*Śluby panienskie*” Fredry w przekładzie M. Vavry.

POWIESCI. *Władysław Sabowski.* „*Piękne za nadobne,*” humoreska. Poznań. Leitgeber 1872.

— *J. Zacharyasiewicz.* *Człowiek bez jutra,* powieść. 2 tomy. Warszawa. Gebethner i Wolf. 1871. Nastąpi obszerniejszy rozbiór.

— *Gustav von See (G. von Struensee).* *Krieg und Friede,* romans. 4 tomy. Berlin. Jancke 1872.

HISTORIA. *Ks. Marc. Ścieżkowski* napisał dwutomowe nader ważne dzieło: „*Historia kościoła w Polsce,*” które oczekuje nakładu.

— *Artur Wołyński* wykończył dwa obszerne dzieła: „*O Galileusz*” i „*Kopernik w Italii*” czyli: „*Pomniki włoskie do monografii Kopernika.*”

— *Tomek.* *Dziejny miasta Prahy.* Tom II. Praga 1872. Zawiera czasy Karola IV, chwilę więc najwyższego wzrostu tego miasta, które wówczas było rezydencją Cesarstwa niemieckiego i posiadało najstarszy we wschodniej Europie uniwersytet.

— *Sir Henry Lytton Bulwer.* *Geschichtliche Charaktere,* übersetzt von Dr. Karl Lanz. Świeżo wyszły tom II zawiera obszerne życiorysy: Mackintosha, Cobbeta i Canninga.

— *Paris pendant les deux sieges, par Louis Veuillot.* 2me edition. 2 vol. Paris. Palme 1872.

— *Comte de Keratry.* *4 Septembre et le Gouvernement de la defense nationale.* Paris. Lacroix et Verbeckhoven 1872.

— *Die 73 Tage der Commune von Catulle Mendes,* przekład z francuskiego. Wiedeń. Hartleben. 1872.

— *Les 31 séances officielles de la Commune.* Paris. Lachaud 1871. Najdokładniejszy, bo protokolarny obraz rządów komuny.

— *Rogge W.* *Oesterreich von Vilagos bis zur Gegenwart.* I Band. Obejmuje czasy absolutyzmu. Lipsk. Brockhaus. 1872. Dzieło opracowane w duchu wolnomysłnym pod względem zasad

politycznych i społecznych, ale techną nienawiścią ku rozwojowi słowiańskich narodowości w Austrii. Nader bystra charakterystyka wybitnych naówczas postaci Bacha, Kempena, Windischgrätza i innych.

— *Vivien de Saint-Martin.* *L'année géographique, revue annuelle des voyages.* Paris. Hachette 1872. Dokładny podręcznik geograficzno-etnograficzny.

NAUKI SPOŁECZNE. *Macdonnel John Survey of Political Economy.* 1872. Zbiór studyów nad żywotnymi kwestyami ekonomii społecznej, napisany przystępnie i zajmująco. Macdonnel liczy się do szkoły zachowawczej ekonomistów, różniąc się od Smitha, Ricarda, Maltusa i Milla w pojęciach kapitału, pracy i zarobku. (Tyg. W.)

NAUKI PRZYRODNICZE. Wyszedł świeżo nowy: „*Rocznik Towarzystwa technicznego lwowskiego.*” Tom II. 1871. Lwów, nakładem Tow. 1872 i zawiera między innymi ciekawe rozprawy dra Czesława Kodeckiego: „*O zastosowaniu chemii do wyrabiania środków pożywienia*” i „*O zdrowem utrzymaniu pomieszczeń i budynków szkolnych.*”

TEATR I SZTUKI PIĘKNE. W teatrze lwowskim przygotowują „*Konfederatów Barskich*” Mickiewicza, „*Filiberta*” Angiera, „*Stasia*” K. Szajnochy i „*Króla Ryszarda II.*” Szekspira. — W teatrze krakowskim przedstawia w tych dniach nową 1-aktową komedję Wład. hr. Koziembrodzkiego „*W jesieni.*” — W teatrze warszawskim przedstawiono 1-aktowy dramat wierszem E. Manuela: „*Robotnicy*” z popisową rolą J. Królikowskiego. — Wystawa obrazów zostanie otwartą we Lwowie d. 25. bm.

— *Tytus Maleszewski* w Poznaniu wykonał obraz: „*Tadeusz Rejtan niszczący akt konwencji r. 1772.*” Rysy twarzy Rejtana wykonane podług wiernego obrazu Smuglewicza.

— *Hr. Tad. Tyszkiewicz* mianowany został dyrektorem król. akademii muzycznej w Berlinie.

— *Repertuar lwowskiego teatru w przyszłym tygodniu.* Niedziela: *Poczwarka*; Poniedziałek, 1-szy raz: *Filiberta*—1-szy raz: *Czula strona*; Wtorek: *Faust*; Środa, 1-szy raz: *Klucz Metelli*—*Czula strona*—1-szy raz: *U ta cerki*; Czwartek: *Filiberta*—*U tancerki*; Piątek: *Stasio*; Sobota: *Marya, córka pułku*; Niedziela: *Konfederaci Barscy.*

NEKROLOGIA. † *Jakób Ignacy Waga*, sławny botanik i autor: „*Flory polskiej*” umarł d. 23 z. m. w Łomży.

— *Płacyd Jankowski (John of Dycalp)*, doktor teologii szymatyckiej, dowcipny autor szeregu humorystycznych powieści: „*Zuścianek*,” „*Ostatni upiór w Bielehradzie*,” „*Pisma przedślubne i przedślubne*” itd. umarł d. 11 z. m. w Żywocicach powiecie Słonimskim.

Składka na fundusz szkół ludowych.

Otwieramy w Redakcyi naszego pisma składkę na pomnożenie ogólnego funduszu oświaty ludowej, od której wyłącznie zależy przyszłość kraju. Sąd imy, że Czytelnicy nasi przyczynią się chętnie do wspólnego celu, przesyłając na ręce nasze małą cząstkę swego grosza.

Na początek: Redakcyja „*Świtu*” 10 złr. — Składka na wieczery, danej dla p. Ładnowskiego 17 złr. Razem 27 złr.

Od redakcyi. *Świt* umieszcza inseraty w osobnym półlarkusowym dodatku. Przyjmują takowe: we Lwowie Agencya *Czasu* p. Alex. Piątkowskiego, w Krakowie Agencya *Świtu* w księgarni p. J. Wilda, we Wiedniu p. A. Oppelik Wollzeile, 22 i pp. Haasenstein & Vogler, Neumarkt 11, w Paryżu Wny pułkownik W. Raczkowski Rue du Pont de Lodi nr. 1.

Opłata: za wiersz drobny (*petit*) 6 ct., oraz należytość stempłowa po 30 ct. za każdorazowe ogłoszenie.